

Józef Denkiewicz

WSPOMNIENIA ODLEGŁE, A JEDNAK BLISKIE

Zupełnie nieoczekiwanie wypada mi sięgnąć wspomnieniami do bardzo już odległych czasów i wydobyć z pamięci w sposób jakoś usystematyzowany zdarzenia związane z moją działalnością w Polskim Towarzystwie Tatrzańskim w latach 1945 do 1950 i w pierwszym pięcioleciu istnienia Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, a splecione nierozłącznie z trwającą przez cały ten okres moją górską aktywnością turystyczną.

Nie prowadziłem dziennika, niczego nie notowałem, nie kolekcjonowałem takich materiałów, które mogłyby teraz wesprzeć moją pamięć. Tylko ona towarzyszyć mi może w tej wędrówce w przeszłość.

Wydaje mi się, że czas nie zatarł ani nie zniekształcił konturów zdarzeń i przeżyć tego okresu i że nie wypelzły i nie wypłowały ich barwy, które teraz ułatwią mi wydobyć ich spośród spraw stanowiących kronikę codzienności, przyprószoną pyłem zapomnienia. Ta selekcja stanowi drugie, stojące przede mną zadanie.

Ograniczony rozmiarami tych notatek, pragnąłbym, by ilustrowały one w jakiejś mierze w sposób z konieczności fragmentaryczny i nie pogłębiony, ale w moim wyczuciu możliwie bliski rzeczywistości, ostatnie pięciolecie działalności Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego na terenie ówczesnego województwa katowickiego oraz pierwsze kroki, jakie stawiało na tym terenie Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze.

Moje odczucia, sądy i oceny pozostawię na uboczu, a chciałbym posługiwać się nimi tylko

wtedy, kiedy miałyby posłużyć do uwypuklenia charakterystycznych cech tych dwóch pięcioleci na styku dwóch kolejnych okresów polskiej turystyki.

Na Śląsku osiedliłem się chcąc nie chcąc na wiosnę 1945 roku, rezygnując ostatecznie z powrotu do Nowego Sącza, z którego wypędziły mnie już w listopadzie 1939 roku powikłane tragicznie okupacyjne koleje mego życia. Byłem tam związany z oddziałem Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego „Beskid” i nad wyraz miłą grupą turystów górskich i narciarskich. W nowym środowisku uwierała mnie wątpliwość, czy postąpiłem właściwie rozstając się z górami, które ongiś były wyznacznikiem wielu moich decyzji życiowych. Obcość i odmienność nowego środowiska budziła nostalgiczne wspomnienia Sądeckizny, Podhala i miasta, w którym przeżyłem lata prawdziwie szczęśliwe. Na nawiązanie nowych kontaktów turystycznych trzeba było czekać, a sporo czasu miało upłynąć do chwili, kiedy otwarła się znowu możliwość podjęcia wędrówek górskich.

Pierwszy mój kontakt z katowickim oddziałem Polskiego Towarzystwa Tatrzańkiego nawiązałem w roku 1947. Warto przypomnieć, że biuro oddziału mieściło się przy ul. Warszawskiej, naprzeciw teatru, w maleńkim pokoiku, oddzielonym drewnianą ścianką od obszego lokalu mieszczącego kancelarię adwokacką. Upamiętnił mi się ten dzień nie tylko dlatego, że na podstawie ocalałej nowosądeckiej legitymacji członkowskiej znalazłem się znowu na liście członków towarzystwa. W dniu tym wróciłem do działalności w towarzystwie jako

delegat oddziału katowickiego na powiat tarnogórski, działalności ze względu na jej warunki miejscowe ani rozległej, ani efektownej, pionierskiej i właśnie dlatego milej, bo liczył się i cieszył każdy, nawet drobny sukces. Na działalność tę składało się trochę nikłej – ze względu na niedostatek materiałów – propagandy, kolportaż jakichś ubogich jeszcze wydawnictw oraz czysto kancelaryjne pośrednictwo między lokalnymi interesantami a oddziałem, co dawało mi pożądaną sposobność do utrzymywania z nim stałej łączności. Ten stan trwał do końca roku 1950, do utworzenia Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Przyszła pora i na turystykę.

15 sierpnia 1947 roku wybrałem się w Beskid Śląski z moim synem Jerzym, podrastającym już chłopcem. Był to mój powrót w góry po ośmiolatej wojennej przerwie, a jego pierwsza wycieczka górską. Rano znaleźliśmy się w Szczyrku, wówczas niewielkiej wsi górskiej. W ten wystonieczniony, ubarwiony błękitem i zielenią, poranek sierpniowy góry przyjęły mnie po tak długiej rozłące życzliwie i przyjaźnie, tchnąc pełnią swych uroków, napełniły poczuciem lekkości i swobody. Raz po raz spotykało się barwnie, odświeżenie ubrane grupy kobiet i dziewcząt w strojach regionalnych, z nęczeniami kwiatów i ziół. Poczuciu swobody towarzyszył wiejski, tak mile swojski nastrój świąteczny, niosący spokój i uciszenie. Długie godziny spędziłem na zboczach Magury wpatrzony w dawno nie oglądany krajobraz górski, w osnute niebieską mgiełką, delikatnie rysujące się na horyzoncie kontury Babiej i Pilska. Pierwszy plan urozmaicał okazałych rozmiarów, drewniany, zastępy w bezruchu wiatrak. Widziałem go wtedy po raz pierwszy i chyba ostatni. Nie pozostało po nim ani śladu.

Po noclegu w urządzonym już jako tako schronisku na Klimczoku ruszyłem nazajutrz w upale odludnym szlakiem na Baranią Górę. Na Salmopolskiej Przełęczy natknąłem się na kilka osób, a potem towarzyszyła mi niezmaczona cisza. W tej ciszy niemiło i niepokojąco zabrzmiały donośne gwizdy dochodzące z różnych kierunków. Nie było czasu na dociekanie przyczyn tego alarmu, gdyż niemal równocześnie znaleźliśmy się w otoczeniu kilku mężczyzn,

z ubiorów wyglądających na zdemobilizowanych żołnierzy czy też na pół umundurowanych robotników leśnych. Nastąpiła lustracja, a potem padło kilka pytań na temat naszej wędrówki. Ruszyłem w dalszą drogę rad nie ze spotkania, które ze względu na alarm, jaki wywołało nasze zjawienie się, było raczej niepokojące, ale z rychłego rozstania.

Szczyt Baraniej Góry nigdy nie wzbudzał we mnie sentymentu; dawno przed wojną doszło tam do szokującego zderzenia wyhołubionego jeszcze w szkole, w mej chłopięcej wyobraźni obrazu tej góry, rodzicielki Wisły, z tym, co – stanąwszy na wierzchołku – zobaczyłem wokół olbrzymiego, osmolonego kotła, stanowiącego ówczesny punkt dystrybucji tzw. dzisiaj posilnej zupy. Szybko więc znaleźliśmy się na Przysłupie.

Ku miłemu zdziwieniu z tchnącego pustką schroniska wyszedł do nas z szerokim uśmiechem i wyciągniętą dłonią znany mi już kolega Edmund Kaźmierczak, przedwojenny i ówczesny prezes katowickiego oddziału PTT. W upalne sierpniowe popołudnie nie było nam śpieszno do schroniska. W milej rozmowie na pobliskiej łące padło, odruchowo przyciszonym głosem, pytanie, czy chcielibyśmy zobaczyć głuszce. Chcieliśmy, poszliśmy na wskazane miejsce w lesie i długo obserwowaliśmy z bliska kilka ptaków nie splotzonych naszą obecnością. Następnego dnia przez Stożek i Czantorię zeszliliśmy do Ustronia. Wiele czasu upłynęło, a wspomnienia tej pierwszej powojennej wędrówki pozostają w mej pamięci jednak wyraźne, przez czas nie przyćmione, zawsze wzruszające.

Tak rozpoczął się długie lata trwający, dotąd nie zakończony okres mego współżycia z górami. Przemierzałem szlaki pieszo i na nartach, o każdej porze roku i w najróżnorodniejszych warunkach, w słońcu, deszczu, mgłę, zadymce śnieżnej, samotnie lub z synem. Nieraz ruszał w góry dwupokoleniowy tandem rodzinny, złożony nadto z brata mego, Stefana, i jego synów. Dojazdy, z reguły koleją, wymagały sporo czasu, a wędrówka rozpoczynała się od dworca kolejowego. Na góry, znane mi i nie znane, patrzyłem zawsze z jednakową wrażliwością, jakbym je widział po raz pierwszy. Szukałem nastrojów i chłonałem urok gór jednakowo szczęśliwy, gdy darzyły mnie pogodną radością, gdy

chnęły ku mnie smętkiem, gdy objawiały swą potęgę i grozę i gdy zsyłały przyjazną ciszę, sprzyjającą zadumie, wywołującą wspomnienia. Do tych założeń dostosowywałem wszystkie układy turystyczne.

Warunki uprawiania turystyki górskiej w ostatnich latach istnienia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego były skromne, czasem wręcz spartańskie. Ocalałe schroniska, z niemalym trudem zabezpieczone i doprowadzone do stanu używalności, zapewniały dach nad głową i niewyszukane warunki pobytu. Nierzadko trzeba było kontentować się pryczą, szarym kocem z demobilu i naftowym oświetleniem. Świeca — na wszelki wypadek — stanowiła konieczny rekwizyt ekwipunku turystycznego. Wszystko to stwarzało nieznaną już dziś atmosferę, wartą wspomnień. Udana wycieczka wymagała powiązania wędrowki z nastrojowym pobytom w schronisku. Szło się więc tak, by zahaczyć o któryś wysoko oceniany pod tym względem kącik.

Dotąd widzę się w schronisku na Leskowcu — jak się to mówiło, u Jadzi i Jasia Rzyckich — obierającego w kuchni ziemniaki. W wyobraźni układałem się do snu w schronisku na Lipowskiej, w pustej, nie oświetlonej sypialni, gdzie miało się do dyspozycji steret nieokreślonej barwy koców. Na Przegibku, zagubionym wśród gór przysiółku, jadało się tylko to, co się miało w plecaku, i zwlekało się, zwłaszcza w niepogodę, z wyprawą do źródła po wodę w perfidnym oczekiwaniu, że zrobi to ktoś inny. A schronisko na Pilsku, ocalałe, ale zbiedniałe po wojnie, budziło wspomnienia przedwojennego szyku turystycznego, kiedy to siedząc w jadalni taksowało się wstępnie wchodzących według gatunku butów, kroju pump i finezji plecaka.

A co działo się na Wielkiej Raczy w małym budyńeczku stojącym obok zdewastowanego wówczas zupełnie schroniska? Było swojsko, zacisznie, przytulnie. Przeczekałem tam raz w jednej z klitek na strychu samotnie kilka dni nieustannej ulewy. Można było urządzić się tak jak w skromnej wiejskiej chatce. Domek wart był tego, by potraktować go jak skansen, zakonserwować w stanie nie zmienionym, by trwał jako swoisty zabytek. Bezlitośnie zeszkobano

z niego doszczętnie całą patynę dawności i urządzono bezwyrazowe izby noclegowe. A szkoda. Stuletnie tradycje kulturalne Towarzystwa obowiązują i w tej dziedzinie.

Ówczesny niewielki ruch turystyczny nie stwarzał jeszcze trudności noclegowych. Noclegi przydzielano archaicznym ówczesnym zwyczajem nie według kolejności przybywania, lecz wieczorem wszystkim równocześnie, mając pełne rozeznanie co do potrzeb noclegowych. Parzenie herbaty z własnych zapasów i we własnych naczyniach stanowiło, zwłaszcza wieczorem, czynność niemal obrzędową. Wrzątek otrzymywało się w dowolnej ilości o każdej porze za drobną opłatą. Przy herbacie, na rozmowach miały wieczory. Zawiały się znajomości przelotne i długotrwałe. Dotąd przetrwała miła, życzliwa znajomość z Bolesławem Jarozsem, kierownikiem schroniska na Klimczoku w czasie mej pierwszej pamiętnej powojennej wycieczki. Zawsze czuję się jak u siebie w domu u wspomnianych już państwa Rzyckich, długoletnich, jeszcze sprzed wojny, gospodarzy schroniska na Leskowcu. Uplyw czasu skłonił ich do zejścia z gór. Serdecznie przyjazna znajomość z rodziną Cieślarów na Salmopolskiej Przełęczy, właścicielami domostwa, w którym mieściła się stacja turystyczna, sięga dziś trzeciego już z kolei pokolenia.

W sierpniu 1949 roku znalazłem się na Sądecku. W Nowym Sączu mieszkałem do wybuchu wojny i przeżyłem tam szczęśliwie najlepsze lata męskie. Wiele lat, aż do września 1939 r. byłem tam związany z oddziałem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid”, z jego zarządem pod prezesurą znanego działacza, prof. Feliksa Rapfa, i z nieliczną, ale aktywną i nadzwyczaj miłą grupą turystów górskich i narciarzy. W tym mieście, szczególnie srogo dotkniętym represjami w czasie okupacji, trwała jeszcze żałoba. Z osób, w których kręgu żyłem, niewiele ocalało. Zginęli lub pomarli. Z nikim z tych, o których wiedziałem, że przeżyli wojnę, nie zdołałem się zetknąć.

Zakwaterowałem się w Krościenku, dobrze mi znanym z przedwojennych pobytów. Wędrowki rozpocząłem od Beskidu Sądeckiego, z którym rozstałem się przed dziesięciu laty, w sierpniu 1939 roku. W słoneczny dzień sierp-



Krościenko n. Dunajcem

Fot. Z. Gamski

niowy wyruszyłem z synem Jurkiem na Prehybę, górę, z którą w czasie mego pobytu w Nowym Sączu najbardziej się zżyłem, zwłaszcza w czasie zimowych, narciarskich odwiedzin nowo wybudowanego schroniska. Wśród szerniałych kikotów drzew, osmalonych ogniem pni i gałęzi znalazłem się na jego zgłiszczach, nie tkniętych jeszcze od dnia pożaru. Z żalem patrzyłem na ruinę dzieła, które wymagało wielu długotrwałych zabiegów i wysiłków w celu uzyskania gruntu pod budowę w pobliżu źródła zapewniającego wodę. Dzwoniąca w uszach cisza, pogorzeliśko, chmary napastliwych much, ludzka czaszka w płytkiej, odkrytej jamie, umieszczona tam chyba dla postrachu, tworzyły nastrój pobojojwiska. Odszedłem wspominając serdecznie tych, którzy towarzyszyli mi tu przed laty w czasie beztrudnych, uroczych wędrówek.

Wkrótce potem wybrałem się z mym nieodstępnym towarzyszem Jurkiem w dawno nie widziane Pieniny. Na szczycie Trzech Koron znaleźliśmy się niemal równocześnie z wędrującymi tą samą trasą panią i panem. Spotkanie ograniczyło się do kilku uwag i wyjaśnień na temat roztaczającej się panoramy. Nie zdawa-

łem sobie sprawy, że łaskawy los zaaranżował to spotkanie w tej bajkowej scenerii, że niebawem w Sromowcu zawrę znajomość ze Stefanią i Januszem Dietrychami, że przerodzi się ona w serdeczną przyjaźń, że z nimi przemierzać będę przez długie lata góry wzdłuż i wszerz, że zwiążą nas przeżycia wymagające tomu wspomnień.

Zbliżał się rok 1950, ostatni rok istnienia Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Dochodziły mnie już słuchy o zamierzonym połączeniu go z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym. Nie interesowałem się nimi i nie przywiązywałem wagi do tych pogłosek do chwili, kiedy w grudniu 1950 r. znalazłem się w sali obrad zjazdu zjednoczeniowego jako... delegat katowickiego oddziału PTT. Nad nastrojami zawodu, rozżalenia i rezygnacji tych, którzy nie widzieli dla siebie miejsca poza Polskim Towarzystwem Tatrzańskim, górowało przeświadczenie o konieczności i celowości zjednoczenia obu towarzystw. I niemal nazajutrz rozpoczął się dla nas, którzyśmy podzielali to stanowisko, nowy okres działalności, jakże odmienny od minionego. Wszystko było nowe. W nowych ramach orga-

nizacyjnych, z nowymi ludźmi, wypadło urzędywistniać nowe cele w nowych środowiskach, stosując nowy styl działalności.

Dokonując retrospektywnie pamiętnikarskiego przeglądu wydarzeń pierwszego pięciolecia istnienia Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego określić je jako okres działalności przede wszystkim organizacyjnej i propagandowej oraz wielkich imprez turystycznych, mających na celu obudzenie szerokiego zainteresowania dla turystyki. W tych dwóch kierunkach wyruszę krótkimi już szlakami mych wspomnień.

Lokalne zabiegi o utworzenie oddziału towarzystwa w miejscu mego zamieszkania były próbą wytrwałości, w ostatecznym wyniku, po wielu wzlotach i upadkach uwieńczoną pomyślnym wynikiem. Na ówczesnych ugorach turystycznych dochodziło się po grudzie do sukcesów organizacyjnych.

Pod koniec pięciolecia uwagę moją zaprzętały sprawy organizacyjne związane z zamierzoną nowelizacją statutu, przeprowadzoną na II Walnym Zjeździe w dniach 15–16 stycznia 1955 roku, na którym wchodziłem w skład komisji statutowej. Działalność ta doprowadziła do licznych kontaktów z ludźmi. Dziś, po latach stawiam sobie pytanie, jak należałoby stosunki te określić i ocenić na podstawie tego, co z tych lat zachowało się w mej pamięci? Wśród osób, z którymi się stykałem, przeważali dawni członkowie PTT, których tam sprowadziło hobby turystyczne. Coraz liczniejsze jednak stawało się grono osób nowych, stawiających pierwsze kroki w organizacyjnej działalności turystycznej. Połem styku był zarząd okręgu, jego komisje oraz doraźnie powoływane zespoły robocze do realizacji określonych zamierzeń, np. ogólnopolskich rajdów, których czas właśnie nadchodził. Ponad tym wszystkim, co mogłoby tę grupę ludzką ze względu na pochodzenie, wiek, wykształcenie i odmiennosc poglądów dzielić lub różnicować, wytworzył się samoczynnie, bez żadnych instytucjonalnych inspiracji, zespół związany tożsamością postaw społecznych, wyrażających się pragnieniem udostępnienia turystyki i możliwości poznania kraju szerokim kręgom społeczeństwa. Panowała koleżeńska atmosfera, a styl działalności charakteryzowały częste, pozbawione formalizmu kontakty osobiste.

We wspomnieniach z tych lat zachowałem szczególnie wyraźnie w pamięci mieszkającego wówczas w Katowicach Stanisława Ziębę, pierwszego prezesa PTTK, wybranego na walnym zjeździe zjednoczeniowym. Posiadał on cenną zdolność całościowego ujmowania problemów i dzięki temu klarownego stawiania związanym z nimi zagadnień roboczych. Czynił to w sposób sugestywny, pobudzający aktywność wykonawców. Uznanie wzbudzało jego zdecydowanie, z jakim przeciwstawiał się wszystkiemu, co mogłoby godzić w społeczny charakter Towarzystwa, jako fundament jego dynamicznej działalności. Darzyłem go szczerą i głęboką sympatią także za to, że na nartach czuł się równie swobodnie, jak w biurze i w sali obrad.

Wspomniałem, że nadszedł czas wielkich rajdów. Z Krakowa wyszedł projekt zorganizowania krajowego rajdu narciarskiego. Impreza wywołała nadspodziewanie żywe zainteresowanie, wpłynęły zgłoszenia z całego kraju. Rajd odbył się w pierwszej dekadzie lutego 1952 roku, po niebywale obfitych opadach śnieżnych. Z mego katowickiego środowiska turystycznego, kto żyw stanął na starcie lub ruszył w teren jako organizator. Wyjduło się biuro zarządu okręgu, zamknięte na czas trwania rajdu. Żadna późniejsza impreza tego rodzaju nie postawiła uczestników wobec takich wymogów regulaminowych i takich trudności na zaśnieżonych trasach podczas tej kilkudniowej wędrówki szczytowymi partiami Beskidu Sądeckiego, Gorców, Beskidu Wysokiego. Szczytowe tereny Babiej Góry okazały się niedostępne. Nie przypominam już sobie, czy były i trasy tatrzańskie.

Przebiecie się w pierwszym dniu przez wielometrowe zasy pasma przedbabiogórskiego kilkuosobowej grupy, w skład której wchodziłem, a więc przy wymiennym prowadzeniu, wymagało dużego, prawie całodziennego wysiłku. Wspomnienia tej wspaniałej imprezy, wolnej w założeniu od wszelkiej łatwizny, dziś jeszcze ekscytują jej uczestników. Wykazała ona ogromne zapotrzebowanie na turystykę, ożywiła zainteresowanie nią i nowo utworzoną organizacją turystyczną.

Dwa następne rajdy krajowe odbyły się w dwóch kolejnych latach w Beskidzie Śląskim i Karkonoszach. W pierwszym z nich uczestni-

czyłem jako organizator. Po raz pierwszy w życiu dochodził mnie z kieszeni mej wiatrówki szelest dokumentacji rajdowej. Nikomu nie wyjawię, jakie uczucia budziły we mnie te lube szmery. Była to miniatura pierwszego prawdziwie wielkiego rajdu, uzasadniona poprzednimi doświadczeniami wskazującymi, że entuzjazm dla turystyki narciarskiej nie zawsze szedł w parze z rzecząwą oceną własnej kondycji, umiejętności jazdy oraz poziomu ekwipunku i sprzętu narciarskiego.

Szukano nowych form imprez zbiorowych, kierując się zarówno celami propagandowymi, jak i pragnieniem, by ta różnorodność przyczyniała się skutecznie do usamodzielnienia się początkujących turystów. Z tą myślą okręg katowicki zorganizował pod koniec listopada 1954 roku rajd nocny. Należałem do grupy, która wyruszyła na trasę ze stacji turystycznej na Salmopolskiej Przełęczy, dokąd ze Szczyrku chadzało się wówczas pieszo wyboistym gościńcem. Noc była pochmurna i mglista. Szliśmy w zupełnych ciemnościach, przy świetle laterek. Niezwykły widok stanowił długi, pokrętny wąż przyćmionych mgłą światełek, posuwający się wśród lasów. W miarę podchodzenia pogarszała się pogoda. Po mżawce i lodowatym deszczu Barania Góra powitała nas śniegiem. Szybko

schodziliśmy do mety w budynku szkolnym w Czarnem. Latarki już zawodziły, pogłębiały się ciemności, a wybuchy śmiechu sygnalizowały raz po raz, że ktoś pogrążył się w strumieniu wody chlupocącej pod nogami.

Istniał wówczas, wkrótce zupełnie zaniechany zwyczaj wykonywania przez uczestników rajdów czynów społecznych, określonych w regulaminie rajdu. W podzięce za gościnność każda drużyna miała ofiarować szkole książki. W miarę jak napływały obłocne i przemoknięte grupy uczestników, rósł pokaźny stos książek starannie dobranych dla potrzeb szkoły.

Wczesnym rankiem, w rozbawionym towarzystwie, ozdobiony plakietką, na której nietoperz z rozpostartymi skrzydłami symbolizował nasze nocne wycieczki, ruszyłem w drogę powrotną do Wisły.

Turystyka dziesięciolecia, w które sięgam wspomnieniami, ograniczała się w ówczesnych warunkach z konieczności do Beskidów i skrawków Tatr, i to z rygorystycznymi ograniczeniami w strefach nadgranicznych. Te skromne, bezpretensjonalne wędrówki beskidzkie zapadły mi w mą pamięć, dzięki swej prostocie wynikłej z warunków, ale i z upodobania. Trwają coraz odleglejsze, a jednak zawsze bliskie, urocze i drogie.